GONIEC

TEATRALNY

PISMO ILLUSTROWANE POŚWIĘCONE TEATROWI, SZTUKOM PIĘKNYM I SPORTOWI.

WYCHODZI RAZ NA TYDZIEŃ.

Warszawa, dnia 3 (15) Marca 1877 r. № 11.



Fotodruk J. Dutkiewicza.

Antonina Hoffman.

ANTONINA HOFFMAN.

Wychylamy się z Warszawy i stajemy u stóp teatru w Krakowie. Gwiazdą tu jasno od lat kilkunastu przyświecającą sztuce jest Antonina Hoffman. Scena starego grodu Piastów zawdzięcza jéj najświetniejsze swoje chwile, wzrost swój i byt dzisiejszy.

Wystąpiwszy na deskach krakowskiéj Melpomeny w roku 1861 pod dyrekcją Pfeiffra w „Prezjozie“ — od razu zdobyła sobie sympatję publiczności. Uczennica bowiem warszawskiéj szkoły dramatycznéj, wyrobiwszy już sobie całorocznym pobytem na scenie teatru Rozmaitości, pewną rutynę, tu stawiać zaczęła samodzielne kroki. Horyzont jéj talentu rozszerzał się z każdym wieczorem a w roli Beaty w „Halszce z Ostroga“ Szujskiego i jako Lady Malbourough w „Szklance wody“ była na wysokości zadania i oparła się najostrzejszéj krytyce.

Było coś porywającego w tém dziewczęciu; rzadki zapał, intuicja, najszlachetniejsze, przedelikatne pojęcie charakterów.

Prastare sztuczydło „Jedna płacze, druga się śmieje“ posłużyło jéj za pole do popisu... zagrała na sercach wszystkich i wtedy pierwszy raz wróciła ze sceny wśród burzy oklasków drogą kwieciem usłaną.

Odtąd ślubowała Antonina Hoffman wieczną wierność krakowskiemu teatrowi — stojąc z małemi tylko przerwami na czele personalu żeńskiego, lub chwilami dzieląc to przewodnictwo z Modrzejewską.

W roku 1864 zszedłszy na krótko ze sceny krakowskiéj, co obaliło dyrekcyę Miłarzewskiego, występowała we Lwowie. Za dojściem do steru hr. Skorupki — Hoffman obejmuje pierwsze role wspólnie z Modrzejewską i obie przy współudziale Bendy, Rapackiego, późniéj Ładnowskiego gotują — pod kierunkiem Koźmiana — scenie krakowskiéj epokową w sztuce polskiéj chwilę.

Przed rokiem 1870 występuje Hoffman gościnnie w Poznaniu i zdobywa sobie oklask krytyki i publiczności; w roku 1872 staje we Lwowie i gra siedm ról popisowych. W roku 1876 zdobywa sobie wieńce na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie, z okazyi przedstawienia filantropijnego. Hoffman wprowadziła w Krakowie klassyczny repertoar; kreowała potężną Fedrę rasynowską, Beatrix Cenci Słowackiego, Kamillę w „Ostrożnie z ogniem“ Musseta, kilka szekspirowskich typów, wiele sylwetek w komedjach francuzkich, nowéj i staréj szkoły.

Zawsze w pracy sumienna i zadanie swe wiele ważąca, artystka duszą i ciałem — na lato tylko ustępowała z świątyni Melpomeny studjując przez ten czas zagraniczne aktorki, a mianowicie mistrzynię niemiecką Wolter, z którą zostawała w stosunkach przyjaznych.

Genialna Wolter jest zawsze wzorem dla Hoffmann, w którą bacznie się patrzy, nie naśladując go wszakże niewolniczo.

Ostatnie jéj najcelniejsze kreacye są: rola pani Caverlet (w kom. tegoż tyt. Augiera), Katarzyny w Daniszewach i bohaterskiéj Córy Rolanda.

Kreacye to silne, charakterystyczne, odsłaniające wszechstronnie niepospolity talent artystki, tylekrotnie już skalpelem surowéj krytyki (Siemieński—Tarnowski) — rozbierany.

A publiczność?...

Ma ona zawsze dla Hoffman oklaski, gorący okrzyk pochwały, kwiaty i upominki. Kraków umie godnie oceniać zaszczyt sceny i jéj filar.

Hoffmann za sceną... ma przedewszystkiém dwie zalety, nie zawsze częste u artystek... Jest najlepszą koleżanką i... nie tai roku swego urodzenia.

Każdy może się dowiedzieć z jéj ust, iż urodziła się w r. 1845 w Trzebinie, w Wielkiém Księztwie Poznańskiém, które dumne być może z takiéj córki.

— zi —

* * *

Płynęła noc straszna przez nieba sklepienie
Płynęła, jak mara cmentarna
A smutna, jak łzawe na grobach marzenie,
Jak rozpacz ponura i czarna.

Wśród ciemnéj otchłani na nieba bezdroże
Głos jakiś się wyrwał zbolały
I wołał lękliwie: „O Boże! .. O Boże!“
A ziemia i nieba milczały.

I w nocy głębinach krzyk tonął sierocy
I słabło rozpaczy wołanie...
Bóg słyszał!... bo z ciemnéj wysunął się nocy,
I gwiazdę wyrzucił w otchłanie.

A gwiazda spadając z tajemnym szelestem
W krzyż smugą rozprysła się jasną,
I w toni wszechświata zadrgało: „Ja jestem!
„Choć gwiazdy i słońca pogasną...

„Niech słabych nie trwoży noc ciemna i głucha
„I głos ich błądzący po niebie —
„Nad nocy otchłanią ktoś patrzy i słucha
„I gwiazdą pocieszа w potrzebie...“

n.

LEKCYA MAŁŻEŃSKA.

NOWELKA

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(*Dokończenie*).

III.

Tu dla czytelników niewtajemniczonych w małżeńskie pożycie opisanéj przez nas pary dodać potrzeba, że ów mąż, właściciel pięknego majątku na Podolu i pięknego nazwiska, pojął był przed rokiem córkę swego sąsiada, panienkę rozpieszczoną przez matkę i psutą przez pobłażliwego ojca. Nie były to wcale zachęcające warunki do małżeństwa, totéż rozum kładł zawzięcie swoje *veto* na wszystkie projekta pana Stefana i odradzał mu; ale serce patronowało bardzo za prześlicznem pieścidełkiem i mówiło mu: to jeszcze dziecko, z którego przy takcie i rozsądku zrobisz dobrą żonę. Co mu szczególniéj dawało do tego otuchę, to poczucie godności, pewna duma, którą odkrył w charakterze swojéj przyszłéj żony. Dla niego było to pewną gwarancją szczęścia małżeńskiego, rodzajem kotwicy, która niepozwala zginąć kobiecie wśród burzy namiętności. Na téj kotwiczce oparł nadzieje swoje — i zdecydował się zostać mężem, a zarazem guwernerem swéj żony.

Taktyka pedagogiczna jaką sobie obrał, była: pobłażliwość w drobnostkach, pozorne uleganie jéj kaprysom, a zręczne kierowanie jéj czynnościami tak, aby nie czuła jego woli. Pan Stefan nauczył się tego sposobu na swoich wierzchowcach i zastosował go do żony z pewnemi modyfikacyjami.

Pierwsza próba takiéj dresury rozpoczęła się już w parę miesięcy po ślubie. Jakiś prowincyjonalny meloman na jakimś wieczorku pochwalił głos pani Natalii i zrobił jéj uwagę, że grzechem byłoby zaniedbywać taki talent artystyczny. Po dłuższéj rozmowie z tym panem, Fru-fru nabrało ogromnéj ochoty do kształcenia się na znakomitą śpiewaczkę, cisza wiejska zaczęła ją nudzić i męczyć, ptaszkowi śpiewającemu zachciało się frunąć w świat, a mianowicie do Medyjolanu, do sławnego Lampertiego.

Pan Stefan popuścił cugli kapryśnym zachceniom nie widząc w tém nic zdrożnego, że młoda żonka nudzi się na wsi, że chce kształcić się w sztuce tak pięknéj, jak śpiew, i pojechali.

Nieprzewidział jednakże, iż żona jego tak zadziwiające robić będzie postępy w śpiewie, że już po paru miesiącach zdolną była śpiewać nie tylko mniejsze solowe aryje, ale i niektóre łatwe dzieła. A do duetów z nią nadawał się w sam raz głos jakiegoś młodzieńca z Warszawy. Był to ów czarno-biały pan Ludwik. To też duetowali po całych prawie dniach, próbowali się z różnych tonów, i w najrozmajtszych rodzajach, aż doszło do tego, że pan Stefan spostrzegł, iż para śpiewająca wkroczyła już w granice śpiewu dramatycznego, i poczęła kształcić się w akcyi, która rozpoczęła się od wymownych spojrzeń, a niezadługo doszła do przeciągłych uścisków dłoni.

Było to już po za programem pedagogicznym pana Stefana i dlatego postanowił przerwać dalsze artystyczne wykształcenie żony. Natura sama przyszła w pomoc tak zbawiennym usiłowaniom, obdarzając Fru-fru chrypką, dla leczenia której wyjechali do Wenecyi.

Ale, jak to już wiemy z rozmowy małżonków, pan Ludwik zasmakowawszy w ćwiczeniach, duetowych, nie miał jakoś chęci poprzestać na partjach solowych i zjawił się także w Wenecyi, z kluczem basowym usiłując nim otworzyć sobie drzwi i serce w domu państwa Stefanów. Pan Stefan niby z porady doktorów zmienił znowu klimat dla żony i wyjechał do Wiednia, gdzie w ślad za nimi przybiegł amator duetów.

Nic łatwiejszego było, jak zamknąć drzwi przed nosem natrętnemu gościowi, ale na nieszczęście umiał on upozorować swoje natręctwo sentymentem do panny Miny, kuzynki pana Stefana. Tak rzadko zdarzała się przekwitającéj pannie w ostatnich czasach sposobność zajęcia kogoś swoją osobą, że najsłabsze objawy sympatyi ze strony pana Ludwika, silne w niéj obudziły nadzieje, których uczepiła się rozpaczliwie.

W takim stanie rzeczy wypowiadanie domu panu Ludwikowi było czystem niepodobieństwem, Mina mogłaby mieć słuszny żal do kuzynka, że zagradza jéj los, zabija szczęście etc. Dla szczęścia tedy Miny cierpiał pan Stefan natrętne wizyty czarnego kawalera, ale nad żoną rozciągnął baczną i czujną opiekę, która udaremniała wszelkie zbliżenie się i porozumienie.

Było to może wbrew metodzie, jaką przyjął w wychowaniu sobie żony. Mając bowiem wzgląd na jéj charakter kapryśny i dziecięcy, że właśnie tego pożądała czego jéj broniono, a zaś dozwolonemi zabawkami wnet się przesyciła i znudziła, pozwalał jéj zwykle pobawić się, aż do znudzenia. Ale w tym wypadku musiał zrobić wyjątek i nie mógł zgodzić się na to, by żonie pozwolić bawić się pięknym barytonem, dopóki się nim nie znudzi. Była to zabawka nie bardzo bezpieczna. To też więc odmówił jéj żonie.

Przeszkody, jakie stawiał zakochanym, powiększyły jeszcze powab zakazanego owocu. Przyjemna zabawka, którą u Fru-fru zajęta była więcéj głowa, niż serce, zaczęła w miarę trudności nabierać wartości w jéj oczach. To, co z początku łechtało tylko jéj próżność, zaczęło w skutek tego przeradzać się w maleńką namiętność. To zapewne skłoniło ją do przyjęcia białéj karteczki. Była to pierwsza kartka, pierwszy wyraźniejszy objaw z jego strony uczucia. Dotąd stosunek ich ograniczał się na wymownych spojrzeniach, lekkiem uścisnieniu dłoni. Teraz pierwszy raz przekroczyła Rubikon, kartka była rzucona.

Jak kura z jajkiem, jak poeta z pierwszym drukowanym wierszem, tak Fru-fru nosiło się z ową tajemniczą kartką, szukając odpowiedniego miejsca i czasu do jéj odczytania. Doświadczała przy tém dziecinnéj trwogi i zarazem jakiegoś rozkosznego uczucia. Kartka przestraszała ją i cieszyła.

Nareszcie korzystając z wyjścia męża do miasta zdecydowała się Fru-fru zapoznać się bliżéj ze swoim skarbem i zamknąwszy drzwi na zasuwkę odczytała ją. Piérwszy raz niewiele z niéj zrozumiała, tak była odurzona ogólném wrażeniem, musiała dopiéro przeczytać raz drugi i trzeci, aby zrozumiéć całkowicie; choć treść wcale była zwyczajna, podobna do wszystkich tego rodzaju wyznań miłosnych. Dla niéj jednak, która nigdy podobnych wyznań nie odbierała, ani czytała, miały te stereotypowe ogólniki niesłychany powab.

Baryton wyraził w tym bileciku swemu sopranowi, którego nazwał swym ideałem, bóstwem, uczucie, jakie go ogarnęło od pierwszéj chwili i przez różne zwroty i porównania starał się je opisać jéj bliżéj. Była więc tam mowa i o srogim tyranie, którego naturalnie reprezentował mąż, a który rozrywa dwa serca stworzone dla siebie, a w końcu błagał ją o kilka słów nadziei, bez których życie straci dla niego urok. W ostatniem zdaniu była jakby zapowiedź strasznego kroku, jakiego się dopuścić gotów w razie, gdyby nie pozyskał jéj wzajemności.

Groźba ta tak przeraziła naiwne Fru-fru, że co prędzéj umaczała pióro w kałamarzu i na bileciku swoim napisała: Drogi mój, żyj dla mnie.

Po napisaniu tego bileciku pokazał się nowy kłopot, gdzie go ukryć do jutra, a bardziéj jeszcze, gdzie ukryć jego bilecik, z którym postanowiła nigdy się nierozstawać gdzie ukryć tak, aby nie dostał się do rąk „tyrana.“ Wszystkie schówki wydawały się jéj za mało bezpieczne. Wreszcie po długiem wahaniu i namyśle schowała tymczasowo skarby swoje do książki od nabożeństwa, a książkę ukryła w kuferku.

Przypadek, traf, albo jak to zresztą chcecie nazwać, zrobił, że téj nocy, kiedy Fru-fru usnęło już na dobre i śniło o barytonie z powłoczystem spojrzeniem i aksamitnemi wąsami, mąż pisząc list do swego rządcy, potrzebował poinformować się w ruskim kalendarzu co do dat niektórych. Wiedział, że w książce żony do nabożeństwa była taka informacja i wstał poszukać jéj. Długo nie mógł jéj znaleźć aż wreszcie odszukał ją w kuferku pod drobiazgami toaletowemi. Wziął tedy z tamtąd i poniósł do stolika.

Rozumie się, że odrazu spotrzegł liścik i bilecik. Na bileciku poznał pismo żony. Nie bardzo go treść musiała ucieszyć, bo zfałdował czoło i zabrał się z surową twarzą do odczytania liściku.

Ponieważ nowelka ta nie rości sobie wcale pretensyi do studyjów psychologicznych, więc nie będę wam szeroko opisywał, jakie uczucia miotały duszą czytającego, jakie one przechodziły przeobrażenia, jak się wzajem ścierały ze sobą i w jakie skrystalizowały się kombinacyje. To tylko powiem, że pan Stefan nie dokończył już listu do rządcy, ale siedział długo z twarzą podpartą na ręce i wpatrywał się nieruchomo w płomień świecy, że potem wstał, zbliżył się do śpiącéj żony i dłużéj jeszcze niż w płomień świecy, wpatrywał się w jéj twarzyczkę drobniutką, uśmiéchniętą przez sen. Gdyby był człowiekiem gwałtownym, byłby może, jeżeli nie zdusił żony jak Otello, to zbudził ją przynajmniéj, pokazał list i zawołał: „niewierna!“ Może i przychodziły mu takie myśli, ale gdy wśród nich postawił zapytanie: co po tém? — uciekły same przestraszone następstwami. Pan Stefan dość wcześnie sobie przypomniał, że się zdecydował być guwernerem swéj żony, więc otelliczne frazesy schował w kieszeń i poszedł spać. Czy spał téj nocy? nie wiem i nie ręczę.

Na drugi dzień rano wyszedł wcześnie z domu i nie wrócił, aż koło południa.

Zastał żonę zaniepokojoną i pokojową, która się przed nią z czegoś tłumaczyła.

— O co to idzie? — spytał wszedłszy.

— Ale o nic, o bagatelę — odrzekła spiesznie żona pomieszana.

— Pani zginął jakiś papier i utrzymuje, żem ja podczas sprzątania pokoju.

— Dobrze, już dobrze — rzekła przerywając jéj pani Natalija — nie ma o czém mówić. Możesz już odejść moja panno.

Po wyjściu pokojowéj pan Stefan zapytał znowu żony:

— Cóż ci to za papier zginął?

— Rachunek — mała notatka.

— Gdzież ją włożyłaś?

— Była w książce od nabożeństwa. Ale to drobnostka — nie warto mówić.

— Ja miałem wczoraj książkę do nabożeństwa w ręce, ale tam prócz listu pana Leona i twego bileciku żadnéj notatki nie było — rzekł mąż tonem najzwyczajniejszym.

Fru-fru pobladło i z trwogą spojrzało na męża.

— Jakto — ty — ty — widziałeś — i wziąłeś?

— Tak, bo chciałem się naradzić z tobą względem odpowiedzi. Ta, jaką dałeś na list pana Leona nie jest wystarczająca. We dwoje zredagujemy ją może lepiéj.

— Stefanie, przebacz mi — zawołało Fru-fru rzucając się do nóg męża i zaniosło się od płaczu.

Mąż podniósł ją obojętnie z ziemi i rzekł: — Nie masz powodu poniżać się przedemną moja droga, przepraszać mnie. Tyś temu przecie nie winna. Sercu rozkazać trudno.

— Ja go nie kocham — zaprotestowało Fru-fru żałośnie.

Mąż pokazał jéj bilet i rzekł chłodno:

— Ten bilet inaczéj mówi. Jeżeli chcesz, aby żył dla ciebie, powinnaś i ty żyć dla niego. Inaczéj nie rozumiem miłości uczciwéj kobiéty. A że chciałbym, abyś pozostała uczciwą, postanowiłem dopomódz ci.

— Ty? mnie?—spytała odchodząc od zmysłów ze zdziwienia i wpatrując się dziko w niego.

— Tak. Nie od dziś bowiem dopiéro uważam to, że moje ciche, rozsądne przywiązanie nie wystarcza tobie. Masz może inne pojęcia o miłości. W osobie pana Leona znalazłaś zapewne ten swój ideał — nie przerywaj mi, zaraz skończę — rzekł widząc, że coś chciała mówić — otóż — mówił daléj — z listu jego widzę, że i on bez ciebie żyć nie może. Nie chcąc kłaść tamy waszemu szczęściu i być powodem śmierci, postarałem się o rozwód.

To powiedziawszy wyciągnął z kieszeni sporą paczkę urzędowych papierów.

— Oto pozwolenie na rozwód. Jesteś wolną i możesz teraz podług upodobania rozrządzać swoją ręką.

— Stefanie — zawołała rzucając mu się do nóg ze łzami — nie karz mnie tak okrutnie za chwilową lekkomyślność.

A widząc, że milczał uparcie zawołała z rozpaczą:

— Stefanie, przysięgam ci na matkę swoją, na zbawienie méj duszy, że ja tylko ciebie jednego kocham. Teraz dopiéro czuję to mocno, kiedy widzę, że mogę cię utracić. Stu takich Leonów nie zastąpi mi jednego ciebie. Ja cię czczę i kocham. Czy jeszcze mi nie wierzysz?

Całowała jego ręce, oblewała je łzami. Stefan patrzał na nią z łagodną powagą, trzymał w ręce jéj bilet i zamiast odpowiedzi pokazał jéj i rzekł:

— Dlaczego ten bilet pisałaś? Albo jego zwieść chciałaś, albo mnie zwodzisz teraz.

— Więc mi nie wierzysz? — spytała zrywając się z klęczek hardo.

— Chciałbym wierzyć, ale potrzeba mi dowodów.

— Mów, rozkazuj. Będę ci posłuszną jak niewolnica.

— Dobrze więc. Siadaj i pisz.

Spojrzała na niego, chcąc z twarzy mu wyczytać, co zamyśla zrobić; ale twarz jego była nieczytelna w téj chwili, spokojna, poważna. Usiadła posłuszna i umaczała pióro w kałamarzu.

Mąż stanął obok niéj i dyktował:

„Drogi mój! — Dlaczego niepiszesz?“

— Do kogo ten list? — spytała podnosząc na niego oczy.

— Do niego.

— I każesz mi go nazywać „drogim“?

— Wszak sama go tak nazwałaś.

— Stefanie! — rzekła z wyrzutami i prośbą.

— Obiecałaś, że zastosujesz się do mojéj woli, a zaczynasz od uporu. To mi daje złą bardzo gwarancyję.

— Więc piszę. „Drogi mój.“ Cóż daléj?

„Radosną nowiną podzielić się z tobą muszę — dyktował mąż daléj — Bóg wysłuchał nasze prośby i usunął przeszkody do naszego połączenia. Mam rozwód w ręku. Przybywaj. Twoja na wieki — Natalija.“

— Rozumiem — rzekła ukończywszy pisać i kładąc pióro — rozumiem twój plan. Chcesz abym mu to samo w oczy powiedziała, com powiedziała tobie! Czy sądzisz, że się zawaham! Com powiedziała, to powtórzę przed całym światem.

— Tylko nie przed nim — rzekł mąż z uśmiechem.

— Przekonam cię. Jeżeli ci tylko o ten dowód idzie, będziesz go miał.

Zadzwoniła i kazała odnieść natychmiast list podług adresu.

Mąż patrzał na nią i uśmiechał się wciąż dobrotliwie z ojcowskiem pobłażaniem.

Fru-fru irytował ten uśmiech.

— Czy jeszcze wątpisz we mnie? — spytała.

— W ciebie nie wątpię; ale w niego.

— Jak to rozumiesz? Sądzisz, że mi nie uwierzy?

— Nie, tylko sądzę, że nie przyjdzie.

— Nie przyjdzie? Czemu?

— Bo się będzie bał, byś mu za miłość swoją niekazała zapłacić tytułem męża. Dopóki tę miłość mógł miéć darmo, bez obowiązków, mógł przyjść do niéj tak, jak przychodzi złodziéj do pieniędzy, ubiegał się o nią. Ale teraz, kiedy trzeba będzie nabyć ją uczciwie, cofnie się.

— Czy tak sądzisz? — spytała dumnie podnosząc głowę, urażona w godności swojéj tém jego przypuszczeniem.

— Tak mi się zdaje.

— Zobaczymy.

Za chwilę wszedł służący.

— A cóż? — spytała żywo pani Natalja — zastałeś?

— Zastałem. Ten pan kazał się kłaniać i powiedział, że sam tu będzie.

Natalja spojrzała tryumfująco na męża. Ten jednak nie uczuł się wcale zwyciężonym i po odejściu służącego rzekła z flegmą:

— Więc czekajmy.

Czekali godzinę, dwie, trzy, czekali do wieczora — hebanowy kawaler nie pokazał się. Na drugi dzień pani Natalja, któréj miłość własna była tu zadrasniętą i chciała gwałtem przekonać męża, że się mylił, posłała jeszcze raz służącego do Leona. Służący wrócił i oznajmił, że ten pan wczoraj wieczornym pociągiem wyjechał. Fru-fru przygryzło wargi, upokorzona skłoniła głowę przed mężem i rzekła:

— Miałeś słuszność. Teraz przyjmuję rozwód. Nie chcę ofiarować ci tego, czem inni gardzą.

— A ja rozwodu nie przyjmuję — rzekł mąż zbliżając się do niéj z uśmiechem — i biorę to, co mi się z prawa należy.

To mówiąc pocałował ją w czółko. Rozpłakała się jak dziecko i rzuciła mu się na piersi. Pan Stefan rozczulił się także i niezadługo wygadał się przed żoną, że rozwodu żadnego nie wyrabiał, bo by to nawet było niepodobnem w tak krótkim czasie i wziął pierwsze lepsze papiéry z kufra dla zastraszenia jéj i dania nauczki, jak ma oceniać pokątne wzdychania tych ptaszków, co lubią wybiérać jajka z cudzych gniazdek. Panna Mina w téj chwili kładła pasyjanse w drugim pokoju i wypadło jéj, że Leon dziś na pewno oświadczy się o jéj rękę.

Odczyt Rodakowskiego o malarstwie.

(KORRESPONDENCYA ZE LWOWA).

Jeżeli prelekcya o którejkolwiek ze sztuk pięknych wygłoszona przez jednego z jéj znakomitych adeptów zdolna byłaby wszędzie wzbudzić żywe zajęcie, o ileż żywiéj musiał się uczuć zainteresowanym intelligentny ogół miasta naszego, świetnym odczytem o malarstwie, wypowiedzianym przez jednego z najcelniejszych mistrzów naszego pędzla. Myśląca publiczność nasza tém więcéj pragnęła i oczekiwała jeżeli już nie natchnionego, jak się okazało, to przynajmniéj wytrawnego, na rzetelném i głębokiém znawstwie opartego zdania o gałęzi sztuki, która w odwrotnym stosunku do świetnego grona utalentowanych i w całym artystycznym świecie głośnych reprezentantów, tak mało liczy prawdziwych znawców, że po dziennikach naszych z okazyi każdorazowéj wystawy, pozwala się jeszcze

niepojęte rzeczy wypisywać estetykom domorosłym, co nie wychyliwszy się po za graniczne kopce rodzinnego powiatu, nie zwiedziwszy ani jednéj galeryi, wydają przecież o obrazach i malarstwie tak apodyktyczne wyroki, jak gdyby się najściśléj spoufalili z najskrytszemi tajnikami twórczości artystycznéj.

Ale wykład Rodakowskiego był wielce na czasie nietylko już dla zaniedbanéj u nas wiedzy estetycznéj, lecz także dla przeciwważenia nie bardzo pomyślnego wpływu, jaki się w pewnych sferach naszych od niejakiego czasu czuć daje. Wpływ ten widoczny aż nazbyt w prelekcyach publicznych, które urządzane i u nas na wzór zagranicy rok rocznie, tak weszły w modę, że już dziś należy do dobrego tonu chodzić na odczyty, aby tak miłość do nauk pokazać. Byłby to objaw nader pocieszający, gdyby z modą szła w parze istotna korzyść, gdyby „szanowni słuchacze,“ a więcéj jeszcze nierównie „piękne słuchaczki,“ bo z nich przeważnie składa się nasze audytoryum, uważały wykłady za coś więcéj, niż za sposobność widzenia się i pokazania kostiumów, gdyby je co ważniejsza, umiejętny kierunek i szczęśliwy wybór prelekcyi zniewolił do poważniejszego traktowania jednego ze środków jakiemi wygodny i praktyczny nasz wiek usiłuje popularyzować wiedzę.

Dotąd z pewną jednostronnością odczytów, ograniczających się niemal wyłącznie do nauk przyrodniczych, chodzi zbyt często w parze nieudolność formy i dykcyi, oraz szczególne a niczém nie uzasadnione, niemal pogardliwe lekceważenie wszystkiego, co tylko wychodzi po za obręb tak zwanych „pozytywnych“ badań, co tylko z materyalistycznym prądem nie ma ścisłego związku. Tém więcéj uroku miał też odczyt tak znakomity i piękny, a poświęcony idealnéj stronie umysłowego życia.

Nie przesadzimy też z pewnością, gdy powiemy, że w dotychczasowéj seryi odczytów, poniedziałkowy wykład Rodakowskiego, był jak gdyby zieloną oazą. Pojęła to i zrozumiała publiczność, bo jakkolwiek nigdy do téj pory nie miała sposobności słyszeć znakomitego twórcy *Wojny kokoszéj*, była tak liczną i tak pod każdym względem wyborową, że doprawdy nie popełnił szanowny prelegent komplementu, dla zjednania sobie jéj pobłażliwości, gdy powiedział, że towarzystwo sprowadzone odczytem jego do ratuszowéj sali, stanowi ozdobę i urok Lwowa. Skromność nakazywała wprawdzie Rodakowskiemu przypisać ten zaszczyt dobroczynnemu celowi wykładów,—ale wiemy to wszyscy z doświadczenia doskonale, jak nieraz mimo tego celu świeciła sala pustkami, jeżeli brakło innego powabu...

Oklaski powitały artystę, gdy się pojawił na estradzie ustrojonéj zielenią i umiejętnie dobranemi obrazami; rozpoczął z właściwą sobie skromnością, odwołując się do téj saméj pobłażliwéj życzliwości, jakiéj doznał w rodzinnym grodzie jako malarz — uważa ją bowiem za potrzebniejszą jeszcze teraz, gdy się kusi o niewłaściwe dla siebie zadanie.

Może ten i ów przyjąwszy łaskawie i na seryo tę zapowiedź, uzbroił się już w pewien zasób żądanéj pobłażliwości, bo jakżeż to miło być pobłażliwym — ale niebawem miał się każdy przekonać, jak dalece uczucie to będzie mu zbyteczném.

Rzecz Rodakowskiego o malarstwie—to nie klejonka luźnych uwag i komunałów estetycznych, to nie sucha rekapitulacya podręczników historyi sztuki; to raczéj wyborny szkic, obejmujący w zwięzłym odczycie cały szereg świetnych, niekiedy subtelnych i misternych, to znów szerokich poglądów, powiązanych z sobą w jedną organiczną całość, ożywionych jedną przewodnią myślą, dowodzącą, że autor jest zupełnym panem swego przedmiotu, obmyślanego przez siebie i ukochanego głęboko, że nadto po za specyalném ukształceniem, posiada umysł celujący gruntowną humanitarną kulturą, a lubo dotąd nie występował na publicznéj arenie, jest zarazem świetnym i oryginalnym stylistą.

Szanowny prelegent skonstatowawszy fakt entuzyazmu, rozbudzonego teraz dla sztuki skutkiem niezwykłego rozkwitu malarstwa naszego, zwraca jednak uwagę, że uwielbianie choćby arcydzieł, to jeszcze nie znawstwo, a samym artystom, aby na raz wytkniętéj drodze kroczyć mogli z powodzeniem, doskonaląc się co raz więcéj, potrzeba koniecznie publiczności świattéj, wykształconéj, rozumnie współczującéj, zdolnéj wniknąć głębiéj w cel i intencyą twórcy. Autor rozumie doskonale, że trudno o taką publiczność, którą nazwał Peryklesowską, a któréj wzór widzi w XVI stuleciu we Włoszech, że ona nie wyskoczy jak Minerwa z czoła Jowisza, ani za uderzeniem stopy Pompejusza z pod ziemi. Brakło u nas dotąd warunków po temu i sposobności. Dar krytyczny jest naturalném następstwem porównywania jednych przedmiotów z drugiemi. W ten jedynie sposób można pozyskać ową równowagę, ową miarę w sądzie, która w ocenianiu dzieł sztuki daleko jest artyście milszą, niż wszelkie superlatywy pochwał, okraszone porównaniami z Michałem Aniołem, lub innym geniuszem, panującym na niedoścignionych wyżynach.

Autor rozwija kilka myśli w téj mierze, chcąc się przyczynić do tyle upragnionego przygotowania ogółu w przedmiocie malarskiéj sztuki. Rzecz swoją dzieli w ten sposób, że najprzód dotyka wpływów jakim się sztuka poddaje, następnie rozważa jéj istotę i śledzi, na czém odrębność jéj natury polega; w końcu wymieniając różne prądy i odcienia, mówi o kolorystach, rysownikach, i podaje definicyą stylu, aby ztąd jako rezultat wysnuć zapatrywanie na sztukę dni naszych.

Postaramy się jak najwięźléj podążyć za myślą prelegenta, choć szkielet streszczenia naszego tém słabsze da pojęcie o rzeczy, że oną sama już jest nader treściwa, i że jaśnieje tym czerstwym rumieńcem, tém pociągającém ciepłem i tą pełną smaku wykwintną obrazowością, która w pobieżnéj parafrazie koniecznie zniknąć musi.

Wypowiedziawszy uznane powszechnie zdanie, że nastrój sztuki każdego kraju jest idealném odbiciem moralnéj atmosfery społeczeństwa, wykazuje prawdę tego twierdzenia na krótkim przeglądzie rozwoju sztuki. Pomija on sztukę u starożytnych, scharakteryzowawszy ją tylko mimochodem śmiałym a trafnym rysem, całą zaś baczność swą poświęca sztuce chrześcijańskiéj.

Widzimy jak w porze, gdy gmach potęgi Rzymu rozpada się z łoskotem w gruzy, gdy po świecie przeciąga wicher podboju i zniszczenia, wiara na kształt nici Aryadny wywodzi ludzkość z otchłani ciemności na biały dzień cywilizacyi,—że po dłuższéj stagnacyi pchany nieokreśloną tęsknotą duch ludzki, w porze średnich wieków szle w obłoki niebotyczne szczyty świątnic na kształt rzewnego westchnienia, co dobywszy się z głębi piersi, biegnie ku górze i niebo przebija...

Zaznaczywszy ascetyczno-mistyczny kierunek aż do XIV-go, a wskazawszy epokę przejścia w XV-tym wieku, mówi o świetném wybujaniu sztuki w XVI-tym stuleciu we Włoszech, a mówi z wielkim zapałem, siłą i wdziękiem słowa. Wskazuje znów na wiarę gorącą, jako na źródło tych boskich natchnień, ale każe pamiętać, że religijność tu już inna, niż w poprzednim peryodzie, że, jak się wyraził, „dźwiga na swych potężnych biodrach przyszłą reformacyę.“

Z Włoch tak silny powiew artyzmu przeciąga po Europie, że zażegnawszy święty płomień natchnienia w sąsiedniéj słonecznéj Hiszpanii, na odległéj nawet północy, roznieca blask sławy Rubensa. Przed tymi wspaniałymi geniuszami, przed tymi arcykapłanami sztuki, szanowny prelegent z rozrzewnieniem uderza czołem, składa im hołd serdeczny i głosi, że chcąc mówić o sztuce, na nich się trzeba zapatrzyć, na nich sąd i smak kształcić.

Po tém nadzwyczajném podniesieniu, opadają nieco skrzydła wysłańce niebios. Nie ratuje tego względnego upadku ani szkoła bonońska, ani nawet Salvator Rosa, ani zdumiewający, tajemniczy geniusz wielkiego syna Północy, Rembrandta, przyrównanego tutaj do złotego, milionem brylantowych pyłków przesypanego promienia, co się figlarnie wciska przez szparę — bo królująca w karczmach i na kiermaszach sztuka holenderska, mimo nieza-

przeczonego talentu artystów, — pełza po duchowych nizinach.

Po patetyźmie i nadętości następuje pora swawoli w sztuce — i oto jaką ją widzimy w chwili wielkiéj rewolucyi francuzkiéj; w téj burzliwéj epoce zwraca się ona ku klasycyzmowi, aby w naszym wieku idąc za powszechnym prądem, zaciągnąć się pod modny sztandar pozytywizmu. W połowie stulecia dopiero wznosi się z nową siłą, aby odsłonić niepoślednie zasoby twórczości.

Z dosadnym lakonizmem i niepospolitą trafnością charakteryzuje Rodakowski rodzaj i kierunek takich mistrzów jak: Ingres, Owerbek, Delacroix, Delaroche, Cornelius, Kaulbach.

(D. n.)

SPORT.

Wyścigi. W wyścigowéj stajni ks. Romana Sanguszki starszego w Antoninie, na Wołyniu, któréj trenerem jest H. Grasenick, a dżokiejem R. Gillam, następujące konie znajdują się obecnie w treningu:

Pł. Fantasca, klacz sk. gn. po Barbarian i Hanna.
5-letnia Ewa, kl. sk. gn. po Fontenoy i Lorella.
5-letnia Formosa, klacz kaszt. po Fontenoy i Gonnerilla.
4-letni Colibri, og. sk. gn. po Tourbelion i Ozory II.
4-letni Forban, og. gn. po Tourbelion i Madżarka.
4-letni Imprévu, og. sk. gn. po Tourbelion i Georgetta.
4-letni Pretendent, ogier gniady po Van Stroom i Gonnerilla.
4-letni Royal, og. gn. po Van Stroom i Hanna.
3-letni Artist, og. kaszt. po Cavalier i Gonnerilla.
3-letni Marshall, og. kasz. po Cavalier i Sireny.
3-lenia Caprice, kl. gn. po Cavalier i Dzika.
3-letnia Kometa, klacz kasz. po Tereffi i Hajdy.
3-letnia Miss Tambour, klacz sk. gn. po Tambour i Lady Macbeth.
2-letni ogier gniady po Cavalier i Hanna.
2-letni og. kaszt. po Cavalier i Gonnerilla.
2-letni og. kaszt. po Tereffi i Musa.
2-letnia kl. gn. po Cavalier i Madżarka.
2-letnia kl. gn. po Tourbelion i Ozory I.
2-letnia klacz sk. gn. po Tourbelion i Krempe.
2-letnia kl. sk. gn. po Tourbelion i Georgetta.
2-letnia kl. sk. gn. po Meleczan i Uryka.

— Na odbytych w 1876 r. wyścigach w Wilnie, Warszawie, Moskwie i Carskiém Siole, odznaczyły się: klacz Thetis, p. Mysyrowicza, która wygrała wszystkie główne nagrody dla 3-latków w Warszawie i Wilnie; Royal ogier gniady ks. Romana Sanguszki starsz.; Alcybiades p. Łazarewa i Stockwell p. Iłowajskiego.

Na moskiewskim torze, w wyścigu dla 3-latków, który w warunkach co do biegu i wagi zupełnie odpowiada wyścigom angielskim Derby i Oaks, w których bieg wynosi 1 i pół mili ang., czyli 2 wiorsty 133 sąż., nagrodę Jakowlewską zdobył Owen, ogier p. Niemcewicza w m. 2' sek. 49", a nagrodę trzech-górną Ciepoczka p. Lizoguba.

Na torze warszawskim „Derby international" zdobyła klacz Thetis, p. Mysyrowicza w m. 2' s. 59". Prócz niéj 5-wiorstowy wyścig wygrała Fantasca, a 4-wiorstowy Ewa, obie będące własnością ks. Romana Sanguszki starszego.

Wiścigi z przeszkodami, mianowicie zaś najważniejszy ze wszystkich wielki wyścig oficerski w Krasném Siole, wygrał Le Fat hr. Niroda.

Koń ten z niebywałą dotąd szybkością, bo w m. 5 sek. 33 przebiegł przestrzeń 4-wiorstową najtrudniejszemi przeszkodami najeżoną.

Od 1872 r., w którym wyścig ten ustanowiony został, żaden koń dotąd takiéj szybkości w przesadzaniu przeszkód nieokazał.

Największe summy osiągnięte w wyścigach 1876 r. przez właścicieli koni, są następujące:

4-let. Stockwell, wł. p. Iłowajski, rs. 8,100;
4-let. Estonka, wł. p Bołogowski, rs. 6,085;
3-let. Thetis, wł. p. Mysyrowicz, rs. 5,289;
3-let. Owen, wł. p. Niemcewicz, rs 5,025;
3-let. Royal, wł. ks. Sanguszko starszy, rs. 4,500;
3-let Ciepoczka, wł. p. Lizogub, rs. 4,100;
3-let. Alcybiades, wł. p. Łazarew, rs. 3,675.

— Ciekawe są bardzo wyścigi chartów mianowicie ostatnie które miały miejsce w Waterloo Club w Anglii.

Wyścigi trwają dni 3. Psów było 64 których właściciele płacą po 25 funtów stawki; co czyni razem fr. 40,000; z których 12,500 fr. dla zwycięzcy, 6,000 fr. dla drugiego i t. d.

Ale podpisy te niemogą iść w porównanie z zakładami jakie się tam rozgrywają. Tysiące funtów szterlingów przebiega z rąk do rąk; przegrane zaś były o tyle znakomite w tych wyścigach, że najświetniejsze psy pobite zostały. Trzymano zakład 100 przeciw 40 o psa Coomassie który zwyciężył.

Sposób postępowania w wyścigach tych jest następujący: Pierwszego dnia jest zapisanych 64 psów do 32 wyścigów. Psy są przywiązane; a na widok puszczonego w ich oczach zająca tak się zapalają, że prawie do szaleństwa dochodzą. Na dany znak sprężyna odmyka ich obróże; puszczają się więc za zającem, a za niemi sędzia na koniu, wraz ze sportsmanami którzy płacą pewne quantum aby wolno im było dojeżdżać.

W parę minut zając jest dognany; jeden z chartów już dotknął się jego sierści, drugi już go chwyta, ale zając zwinął się w bok i psy straciły go znowu. Nareszcie po kilku zwrotach jeden z psów dochodzi i bierze zająca.

Pies zwycięzca odprowadzony z tryumfem do psiarni oczekuje do dnia następnego na nowego współzawodnika.

Pierwszego dnia jak wyżéj powiedziano, odbywa się 32 takich wyścigów, na drugi więc dzień biega 32 zwycięzców; a 32 przegrywające biegają w wyścigu Waterloo-Curse, który jest już podrzędnego znaczenia. Staje więc tylko 16 par na drugi dzień które mają prawo zdobyć nagrodę Waterloo-Coupe.

Z tych 16 par, szesnaście psów które przegrały w dniu drugim, bywają wycofane i w trzecim dniu ubiegają się o nagrodę Waterloo-Plate, którą stanowi 145 funtów. W dniu trzecim jest już tylko 8 par; a w każdym wyścigu jeden z psów koniecznie przegrywa; tym sposobem w ostatniéj gonitwie za zającem pozostają tylko 2 charty.

Wyścigi te mają tak wielkie znaczenie w Anglii, że przed laty kilkoma chart Master Mac-Grath który był zwycięzcą w 3-ch wyścigach po sobie następujących, w których zdobył wielką nagrodę Waterloo-Coupe, miał zaszczyt być prezentowanym w Windsorze królowéj Wiktoryi.

Hodowla koni. *Stadnina hr. Branickich.* Dzisiejsze stado hr. Branickich, znajdujące się w trzech miejscowościach Kijowskiéj gubernii: hr. Aleksandra w Janiszówce (dobra Stawiskie powiat Taraszczański), hr. Władysława w Szamrajówce (dobra Białocerkiewskie, powiat Wasilkowski), hr. Konstantego w Uzinie (pow. Wasilkowski) było pierwotnie założone przez dziada ich hetmana W. K. Franciszka Ksawerego Branickiego w Szamrajówce w r. 1778 i składało się z 30 klaczy czerkieskich, perskich i polskich ze stada Tulczynieckiego wojewody kijowskiego Szczęsnego Potockiego i z 2 ogierów wschodnich.

W miarę rozmnażania się stada, gdy liczba klaczy stadnych (matek) przeszła cyfrę stu, wypadła potrzeba rozdzielenia go na dwoje, i jedna jego połowa r. 1802 została przeprowadzona do Winogradu (pow. Zwinogrodzki, dobra Stawiskie); prócz tego dla ułatwienia i pewności w wychowaniu jak w stadnicy Szamrajowskiéj tak i Winogradzkiéj trzymano tylko klacze stadne i młode ogierki, młode zaś klaczki z obudwu stad przepędzano do innego miejsca przy folwarku Czepelówka (Wasilkowski powiat).

Że jednak stadnica Winogradzka była odległa od Szamrajówki, siedziby głównego koniuszego około 100 wiorst, co dla dozoru stało się uciążliwém, a od Białéj-Cerkwi mieszkania hetmana W. K. o 90 wiorst, starano się więc znaleść odpowiednie na ten cel miejsce w mniejszéj odległości, i wybrano takowe na stepie przy wsi Uzinie, odległéj od Białéj Cerkwi o 18 wiorst i w blizkości folwarku Czepelówki, dokąd przeprowadzono tymczasowo stado z Winogradu a w Uzinie zaczęto budować nową stadnicę, która ukończona 1820 r. ostatecznie przyjęła stado Winogradzkie, i z Czepelówki; istnieje ona dotąd i jest własnością hr. Konstantego Branickiego. Po rozdzieleniu majątków pomiędzy synami senatora hr. Władysława Branickiego, dobra Stawiskie dostały się hr. Aleksandrowi Branickiemu, który w bliskości Stawiszcz, we wsi Janiszówce pow. Taraszczańskim, założył nową stadninę ukończoną w r. 1871 a wybudowaną z wielkim przepychem i nakładem, dokąd swoją część stada przeprowadził.

Do roku 1803 braknie ksiąg dokładnych, któreby pozwoliły z pewnością wykazać wzrost stada i dokupywane ogiery dla podtrzymania i podniesienia krwi arabskiéj w stadzie. Tradycya tylko i wzmianki w rodowodach przechowały nazwiska słynniejszych ogierów arabskich i wschodnich, które między innemi odznaczyły się odradzaniem doskonalszych koni.

Od założenia więc stada sprowadzono 107 koni czysto arabskiego lub wschodniego pochodzenia; stado to bez przerwy ściśle się prowadziło z całą troskliwością o odświeżanie coraz więcéj czystą krwią arabską lub przynajmniéj wysoko perską; a chociaż o początku stada w zeszłym wieku mało pozostało szczegółów, że jednak prowadzone było przez hetmana Branickiego znanego miłośnika arabskich koni, przeto znaczna liczba ogierów wschodniéj krwi musiała być już wtedy nabytą. To więc napewno wiadomo, że w przeciągu 74 lat teraźniejszego wieku, 107 ogierów i 16 klaczy najwyższéj arabskiéj i wschodniéj krwi weszło do stada dla podtrzymania i podniesienia produkowanych koni. Wyznaczanie ogierów do klaczy odbywa się z całą bacznością na przymioty i zalety obojga reproduktorów, a co do ogierów własnego chowu, to i na pokrewieństwo którego w najdalszéj nawet linii starannie się unika.

Osobno zaś dla nabycia koni czystéj krwi angielskiéj dla wyścigów, hr. Aleksander Branicki wysłał koniuszego Robinsona do Anglii; w r. 1846 przyprowadził on czystéj krwi i najlepszych zalet 10 klaczy i 1 ogiera, które

utrzymywane były w osobném stadzie w folwarku Katarynince (8 wiorst od Białéj Cerkwi) i tamże istniały do 1864 roku, w którym to roku stado zostało zwinięte.

Z niego pochodziły wyścigowe konie wygrywające na wielu hipodromach i do angielskiego polowania par force przyuczane.

(dalszy ciąg nastąpi).

Polowania. *Polowanie na bawoły.* Co rok liczni sportsmani angielscy przebywają Atlantyk, aby polować na bawoły których niezliczone stada znajdują się w ogromnych puszczach północnéj Ameryki.

Jeden z tych sportsmanów przesyła nam ciekawe wiadomości w tym względzie:

„Na dobrych i szybkich koniach myśliwi dojeżdżają stado bawołów; każdy z nich wybiera zwierzę które pragnie upolować, i wtedy dojeżdża galopem uciekającego bawołu i strzałem z rewolweru zabija go.

Inny rodzaj już nie polowania, ale raczéj tępienia bawołów odbywa się przez ludzi czychających na bawolą skórę, z któréj wyrabiają się tornistry i inne przez wojsko używane potrzeby.

Polowanie to, zwane polowaniem milczkiem (still-hunting) odbywa się pieszo ze sztucerem w ręku.

Skoro więc da się spostrzedz stado bawołów, wszyscy myśliwi tworzą łańcuch tak zwany indyjski, rzucają się na ziemię i czołgając się z bronią odwiedzioną, podpełzają pod stado na bliski strzał sztucerowy.

Po pierwszych zaraz strzałach całe stado pędzi prawie w około łańcucha strzelców, tak jak gdyby dowiedzieć się chciało jak wielkiém jest niebezpieczeństwo, następnie wymyka się w step najpowolniejszym galopem.

Zdarza się też często że stado zatrzymuje się przy rannych bawołach okazując dowody sympatyi dla rannych współbraci; zatrzymanie się takie stada, daje sposobność myśliwym do zastrzelenia jeszcze większéj ich liczby. Podczas polowania w dniu tym odbytego zastrzeliliśmy 13 bawołów. Ponieważ pozostawała nam zaledwie godzina czasu do zachodu słońca, zmuszeni byliśmy jak najprędzej zabrać się do niemiléj a uciążliwéj operacyi zdjęcia skóry, ćwiertowania mięsa na pożywienie, przygotowania szynek ozorów, oraz starannego zachowania garbów bawolich, które to czynności natychmiast po zabiciu zwierza dokonywane być winny.

Myśliwi wybierający się na polowanie na bawoły mają swe wagony którémi transportują mięso i skóry z zabitych zwierząt do najbliższéj miejscowości, gdzie targi się na takowe odbywają.

Myśliwi obozują pod gołém niebem, podczas zimy. Najpierwszém staraniem gdy obóz rozbija się, jest mieć wodę dla ludzi i koni, przygotowują zaś takową pakując śnieg w skóry bawole, który gdy stopnieje służy za napój.

Wagony ustawiają się od północy i wschodu, ażeby zasłaniały od powiewu północnych wiatrów.

Łąki nieposiadają żadnego opału i dla tego też paliwo tworzy się z zeschniętych odchodów bawolich, przy których myśliwi pieką zwykle garby bawole, robią chléb i gotują kawę.

Po takiéj kolacyi, oporządzają konie a następnie otuliwszy się w grube opończe przy termometrze dużo niższym od zera, myśliwi zabierają się do spoczynku, który niekiedy przerywanym bywa napadami wilków na tabor.

Miscelanea. X Znany z zrobionego zakładu o przebycie konno przestrzeni z Wiednia do Paryża porucznik honwedów Zubowitz, przepłynął konno dnia 25 Lutego r. b. Dunaj pod Pesztem, a to przy pomocy przyrządu do przepływania rzek konno przez siebie wynalezionego. Przyrząd ten nakształt przyrządu do pływania dla ludzi, kapitana Boyton, okazał się praktycznym. Próba udała się wynalazca w obec kommissyi wydelegowanéj przez kr. Węgierskie Ministeryum obrony krajowéj, przepłynął Dunaj z Budy do Pesztu około 400 sążni wiedeńskich w $8^1/_2$ minutach na koniu opatrzonym owym przyrządem, osiodłanym i opakowanym w całym rynsztunku wojskowym. Tysiące widzów oblegało oba brzegi rzeki a grzmiące Ellen! powitały szczęśliwie wylądowującego jeźdzca.

Zapewniają nas, że p. Zubowitz zamyśla powtórzyć swój spacer po Dunaju pod Wiedniem, w obec kommissyi wyznaczonéj przez ministeryum wojny dla ocenienia jego wynalazku.

Zmarły niedawno jenerał Changarnier, uchodził za człowieka bardzo uprzejmego i miłego w towarzystwie; był to salonowiec wiele mówny, choć jako dzielny żołnierz długo w obozie przebywający, mimo ogłady towarzyskiéj jaką posiadał, znajdował się często dość szorstko.

Jenerała Bugeaud podówczas głównodowodzącego wojskiem w Algieryi szczerze nienawidził; razu też pewnego gdy Bugeaud czynił mu uwagi co do planu pewnéj wyprawy w Kabylii, Changarnier któremu wyprawa ta w zupełności powierzoną została odpowiedział:

— Zechciéj panie jenerale zostawić to już mojemu doświadczeniu, dość bowiem nawąchałem się prochu, o czém pan jenerał najlepiéj przekonanym jesteś, skoro wiesz w wielu potyczkach się znajdowałem.

Bugeaud znowu który znanym był jako wielki gbur odparł mu na to:

— Niewidzę żadnéj racyi w tém coś mi tu pan powiedział, wiadomo bowiem całemu światu że Feldmarszałek de Saxe posiadał muła który z nim odbywał wszystkie kampanie, nawąchał się téż niemało prochu, a jednakże pomimo to nieprzestał być mułem.

Dotknięty tém do żywego Changarnier, poprzysiągł niedarować obrazy, i gdy w lat parę został jenerałem dywizyi, zaledwie nominacyę otrzymał, przyszedł do mieszkania jenerała Bugeaud aby go wyzwać na pojedynek.

— Jesteśmy dziś równi w stopniu — rzecze — a więc i strzelać się nareszcie możemy.

— Żałuję bardzo — była odpowiedź jenerała Bugeaud — że los jakoś wyzwaniu pańskiemu nie sprzyja; w téj bowiem chwili pułkownik Liardières przywiózł mi z Paryża buławę marszałkowską; rozprawy więc pomiędzy mną marszałkiem, a panem jenerałem dywizyi być niemoże. Musiemy zatém odłożyć przyjemność spotkania się na późniéj; ale już teraz możesz liczyć na pewno jenerale, gdyż ja już wyżéj awansować niemogę, pan zaś masz przed sobą widoki dojścia do marszałkostwa; do widzenia więc nieprawdaż?

Na tém skończyła się rozmowa dwóch nieprzejednanych nieprzyjaciół, którzy wszakże rozprawić się o obrazę nigdy niemogli!

Książe de Ligne znany donżuan przeszłego stulecia zawdzięczał powodzenia swoje bardziéj dowcipowi i elegancyi wielkoświatowéj jaką w wysokim stopniu posiadał, aniżeli swéj powierzchowności.

W wielkiéj liczbie uwielbianych przez siebie dam, wyszczególniał pewną margrabinę, któréj przez rok cały hołdy swéj galanteryi składał (na owe czasy była to bardzo długa stałość w miłości) i którą ostatecznie nieuprzedziwszy o niczém opuścił.

W lat parę spotyka ową margrabinę, która zaprasza go do siebie.

Książe jako człowiek dobrze wychowany miłemu zaproszeniu nieodmawia, jednakże przeczuwając coś niedobrego bierze z sobą parę nabitych pistoletów.

Margrabina przyjmuje go jak najlepiéj, tak dalece iż księciu zdaje się że znów powróciła rozkoszna z przed dwóch lat przeszłość; lecz w chwili największego z jego strony zapału miłosnego, drzwi się nagle otwierają i 4-ch uzbrojonych w potężne kije lokai zjawia się; na skinienie margrabiny rzucają się na księcia, rozciągają go na łóżku i wyliczają mu 50 odlewanych kijów.

Książe de Ligne wytrzymuje te plagi po kawalersku, bez najmniejszéj skargi lub krzyku, po czém przyprowadziwszy swą tualetę do porządku, chwyta za pistolety i odwracając się do służby rzecze:

— Zostawiam wam do wyboru: albo spełnienie mego rozkazu, albo śmierć; bierzcie panią margrabinę natychmiast i toż samo coście zemną zrobili, uczyńcie z nią.

Następuje błagalna scena, tłomaczenie się margrabiny, chwianie się służby, ale nabite pistolety żartować niepozwalają.

Margrabina od własnych ludzi otrzymuje odliczoną co do jednego przez księcia de Ligne karę. Nareszcie książe rozkazuje ażeby każdy z osobna z lokai otrzymał od pozostałych po 50 kijów i to natychmiast w jego obecności, co gdy spełnionem zostało, książe zażądał pokwitowania na piśmie iż 250 plag otrzymały wymienione z imienia i nazwiska osoby. Otrzymawszy to pokwitowanie, książe de Ligne z całą galanteryą pożegnał panią margrabinę i oddalił się z niezwykłym spokojem, który niepozwalał się domyślać, iż tu cośkolwiek zaszło.

Zapewne w ten tak pamiętny dzień dla siebie, książe w dziele swojem w rozdziale o kobietach napisać musiał poniższą sentencyę: „ażaliż znacie choć jedną kobiétę któraby kiedykolwiek zechciała mężczyznie przebaczyć?“

High life. Dowiadujemy się że hr. Henryk Tyszkiewicz wł. Androszówki na Ukrainie ma wkrótce połączyć się węzłem małżeńskim z panną Teresą Łobańską córką p. Łobańskich właścicieli dóbr ziemskich na Ukrainie.

Przybyli do Warszawy hr. Józef Zamojski z Krośniewic, hr. Fr. Łubieński Szambelan Dworu J. C. K. Mości autor znanéj broszury o cukrowarstwie z Kazimierzy Wielkiéj. Wyjechał do Wiednia hr. Ludwik Krasiński.

J. N.

OD REDAKCYI.

„GONIEC TEATRALNY“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie w téj samej formie i w jednakim zakresie. W następnym numerze rozpoczętą zostanie sensacyjna powieść p. t. *„Romans Adeliny Patti.“*

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie:		w Cesarstwie i na prowincyi:	
Kwartalnie	Rs. 2 kop. 50	Kwartalnie	Rs. 3
Półrocznie	„ 5 „ —	Półrocznie	„ 6
Rocznie	„ 10 „ —	Rocznie	„ 12

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Administracya „GOŃCA TEATRALNEGO“ ma honor upraszać JW. i W. PP. o nadesłanie zaległéj prenumeraty za kwartał 1-szy i na kwartał 2-gi r. b. Prenumeratę uprasza się nadsélać wprost do Administracyi „GOŃCA“ ulica Nowolipki Nr. 3, lub do księgarń warszawskich.



Lady Flora po og. Nautilus z kl. Welcome wł. hr. **Augusta Potockiego,** wygrała wiele nagród w wyścigach z przeszkodami; a na jednym z takowych w Carskiém Siole życie postradała.

Redaktor i Wydawca **Józef Naimski**. — Дозволено Цензурою, Варшава 2 Марта 1877 г. — Druk **J. Ungra**, Warszawa Nowolipki Nr. 2406 (3).

Redakcya i główna ekspedycya w Warszawie w kantorze drukarni J. Ungra, Nowolipki Nr. 3.